Rozmaitości

Dnia 15. września **Nr 37.** 1838 roku.

NIEBIESKIE

OKULARY.

Przez J. A. David.

Pewnego wieczora w piérwszych dniach kwietnia r. 1823 były sale *Café de Paris*, jak zwykle, gośćmi napełnione. W tém zwróciły się na raz oczy wszystkich na mężczynę, który wszedł hucznie do głównego salonu, i z niedbałą śmiałością kroczył aż w sam koniec sali, aby sobie tam usiadł.

Przybysz ten byłto słuszny, pełen siły mężczyzna; jego twarz i pleczystość przypominały na piérwszy rzut oka owe starożytne popiersia mężów atletycznéj postaci. Duże, otwarte oko biło owém pogodném spojrzeniem, które za zwyczaj dzielną zdolność lub niezgiętą wolę znamionuje. Jego ciemne, siwizną narzucane włosy, toczyły się w śmiałe zakręty aż po same brwi nad wypukłém czołem; jego usta, cokolwiek széroko rozcięte, pokrywał wąs gruby i mocno poczerniony. Miał na sobie niebieskie pantalony, mosiężnym łańcuszkiem pod butem spięte, i oliwkową czamarkę, po szwach suto galonami lamowaną; dodajmy do tego i długie ostrogi, które strój jego kończyły, a nie trudno nam będzie poznać w nim oficéra jazdy, choćbyśmy nawet jego łuczych, od konia wygiętych nóg nie postrzegli. Wszyscy obecni od razu toż samo zrobili postrzeżenie. Lecz ta uwaga nie długo trwała, a każdy do swojéj znowu powrócił zabawy. Oficér jazdy siedział spokojnie za stolikiem i oczekiwał zastawienia wieczerzy, gdy oto jakiś młody człowiek szybko przeszedł wzdłuż sali i tuż koło niego usiadł.

Ten już nié miał ani w swym stroju, ani w zachowaniu nic nadzwyczajnego; byłto jeden z owych mężczyzn, o których zwykły kobiéty lub myślić lub mówić: »Toto mi ładny chłopiec!« Jego czarne włosy, gładko uczesane spadały po jednéj stronie aż po za ucho, po drugiéj zaś były według owczesnéj mody w czub nastrzępione. Jego kibić była smukła, opiętym frakiem wyżéj kłębów wcięta, a cera twarzy chociaż dosyć biała, jednakże bynajmniéj niewieścia. Na małym palcu u prawéj ręki błyszczał mu duży, czarno osadzony brylant, *soliter* zwany; a zgrabnie podstrzygnięty wąsik, z pod którego cienia dwa rzędy białych, pięknych zębów świéciły, dodawał zarysom orlego nosa większéj wydatności. Nie wiém jakby roku 1823 nazwano takiego modnisia, ale w r. 1838 zowią go w Anglii, a podobnoś nawet i w Paryżu: *dandy*. — Jedna rzecz tylko mieszała tę zgodność młodzieńczéj świeżości z dobrym smakiem i psuła całe wrażenie: młody człowiek ten nosił niebieskie okulary.

Skoro się te obie, przez nas opisane osoby spostrzegły, zaczęły się przez niejaki czas z zadziwieniem i powątpiewaniem wpatrywać w siebie. Nakoniec powstał ten, co piérwéj przyszedł, i przystąpił do młodego człowieka: »Na mój honor!« rzekł do niego, »nie mylę się! wszakto kapitan Vernon.«

»On sam!« odrzekł drugi, ściskając podaną sobie rękę. »Wćpan przyszedłeś wieczerzać komendancie?«

»Tak jest, właśnie o tém zamyslam; siadaj kapitanie, będziemy jeść razem.«

Tych słów kilka, wzajemnie wyrzeczonych, wyjaśniło dostatecznie rodzaj stosunków, jakie między nimi zachodziły.

»No, cóż tam nowego słychać komendancie?« zapytał kapitan Vernon.

»Zaraz to panu opowiém,« odrzekł komendant, »ale mam wprzód jednę prośbę do wćpana; nie prawdaż, że mi jéj za złe nie weźmiesz? Wszakcito my starzy przyjaciele.«

»Słucham,« rzekł tamten.

»Kapitanie, proszę cię, zdejm te okulary.«

Młody oficér nic na to nie odpowiedział. Ale nagły rumieniec zbarwił jego lice. Widać było po nim wyraźnie zmieszanie człowieka, który nié ma ochoty do żartu, a nie widzi sposobu, jakby go uniknąć.

»Czy uwierzysz kapitanie,« rzekł komendant na nowo, »że dla tych przeklętych okularów, trudno mi było i poznać wćpana; możnaby cię raczéj miéć za pisarza z biura finansów, niż za oficéra od hussarki. Więc spraw mi tę przyjemność i zdejm te okulary.«

Te słowa wyrzekł z tą zwyczajną, żartobliwą poufałością, jaka między wojskowymi panować zwykła; ale oraz wlepił oczy w pomieszanego kapitana Vernon, który się nieustannie czerwienił, a przecież milczał. Co do komendanta, ten się ledwie od śmiéchu wstrzymać zdołał.

»Zatrważasz mię kapitanie, miałżebyś lękać się biélma na oczach? albo boisz się może, aby ci słońce brwi nie osmaliło? Strzeż się! Gdyby cię twoja bogdanka ujrzała, jakżeby się naśmiała z ciebie! a wiesz, że co się raz kobiétom śmiesznem wyda, to już i miłém być przestanie.« Kapitan zmarszczył na te słowa czoło, jednakże nie dał gniewu wyczytać na twarzy; miał się jak ów aktor, który roli nie umié, a przecież miny nie traci. Poczém rzekł tonem surowym do komendanta:

»Mości komendancie, znam ja uszanowanie winne jego stopniowi, ale...«

»Memu stopniowi?« przerwał mu komendant; »właśnie tu o stopień nie chodzi. Tuśmy sobie równi, przyjaciele, towarzysze, i dla tego chcę widziéć wćpana, jak pan Bóg przykazał, widziéć z otwartą twarzą. Do kaduka! proszę cię, zdejmże te okulary!«

»Komendancie!« ozwał się kapitan Vernon, ucinając rozmowę; »dajmy temu pokój, i mówmy raczéj o czém inném. Pytałem się o nowiny; czy będziemy miéć wojnę? Czwarty pułk hussarów wyruszyż także do Hiszpanii?«

»Wojna niezawodna, a co się tyczé pułku, to mię dziś właśnie minister zapewnił, że czwarty pułk hussarów będzie jednym z piérwszych, który na granicę wyruszy.« Tu przestał komendant, a spojrzawszy znowu na śmieszno okulbaczony nos swego młodego towarzysza, mimowolnie śmiać mu się zachciało.

»Jeszcze raz upominam cię komendancie,« rzekł kapitan, nie mogąc już wstrzymać gniewu; »właśnie sam powiedziałeś, żeśmy równi i towarzysze. Otóż jako mój przyjaciel i towarzysz już cię nie proszę, ale mam prawo wymagać od ciebie, abyś zaprzestał tych żartów.«

W innéj chwili mógłby podobny wyraz nieprzyjemne miéć skutki, ale teraz był komendant za nadto wesołego umysłu, aby dobry jego humor mógł tak nagle przejść w uraźliwość.

»Stój, kapitanie,« odpowiedział mu, »nie gniewajże się! Wiém to dobrze, iżbyś nie zniósł urazy od nikogo; ale jeżeli cię to gniewa, że o twoich okularach mówię, więc nie chcę już o nich mówić. Tylko się uspokój.«

Łagodna odpowiedź komendanta, uśmierzyła natychmiast opryskliwy gniéw kapitana Vernon. Obaj oficérowie opuścili wraz salon i poszli ku bulwarom.

»Słyszałem komendancie, że młodość twoja była nadzwyczaj burzliwa,« rzekł kapitan Vernon z uśmiéchem.

»Któż to powiada?« odparł zapytany.

»Cały świat mówi o tém komendancie. Rozpowiadają o przygodach twoich godnych Lovelasa, albo romantycznego Don Juana! I w saméj rzeczy wypada się dziwić, żeś po tylu podróżach, mając tyle doświadczenia, tak często dawał się uwieść płochéj namiętności; i znajomości świata...« To mówiąc sam sobie przerwał kapitan, bądź, że uczuł śmieszność rozmowy, którą rozpoczął, bądź, że obojętny uśmiéch komendanta umiarkowanie mu nakazywał. »Czy się panu komendantowi niepodoba, com tu mówił?« zapytał go spokojnie.

»Bynajmniéj, mój młody przyjacielu, i owszém, możesz mówić bez ogródki. Zobaczymy, coteż tam o mnie mówią. I cóżeś słyszał?«

»Słyszałem nie dawno,« rzekł kapitan, nachyliwszy się do ucha komendanta; »że cię z bardzo piękną kobiétą idącego widziano.« Te słowa wyrzekł z ową prostoduszną swawolą, która więcéj o pokwapnéj ciekawości świadczy, a niżeli o istotném serca zepsuciu; ale twarz komendanta mocno się skrzywiła; zdał się nieprzyjemnie być dotkniętym.

»Widziano mię z kobiétą? Gdzież? Kiedyż? To bajka, niedorzeczność.«

»Aha,« zawołał kapitan, »i pan komendant wpadasz w zapał, kiedy się bronić przychodzi. A przecieżto ani przez połowę nie jest tak śmiesznie prowadzić piękną kobiétę, jak nosić niebieskie okulary, i patrzyć przez niebieskie śkiełka. Wzruszona na chwilę twarz komendanta przybrała dawną spokojność; obaj przyjaciele zamilkli.

Już minęli ulicę *Artois*, gdy kapitan Vernon usłyszał swoje nazwisko wymienione; obejrzał się i ujrzał służącego w liberyi o dwa kroki za sobą. Byłto jego Angielczyk, który przyłożywszy jednę rękę do swego kapelusza, oddał mu drugą bilecik w węzeł miłosny zwinięty, jasminem woniejący.

»Czy tak? a to pięknie! wćpan kapitanie prawisz o cudzych przygodach?« rzekł komendant z miną tryumfującą, »właśnieżto wćpanu do twarzy, któremu nawet na przechadzcę z przyjacielem będącemu, kobiéty spokoju nie dają. Bilecik tajemniczy, pachnący, na bulwarze, o 10téj wieczór! A to mi prawdziwa włoska lub hiszpańska miłostka! Przemieńmy tylko bulwary na ogrody Alhambry lub gaiki Lido, a już się ujrzymy w Hiszpanii lub we Włoszech. Ale nie chcę ci przeszkadzać kapitanie. Ze złożenia liściku poznaję, że masz słodkie *rendes-vous;* i założyłbym się, że ten bilecik tak ładnie złożony, ma na pieczątce jakieś tkliwe godło, na przykład: *I love you!* albo: *For ever!* o! angielskie dewizy teraz bardzo w modzie.«

Kapitan Vernon nic nie odpowiedział, stracił widocznie przytomność, stał bowiem jak ów zagadniony, który za odpowiedzią goni, a zgonić jéj nie może.

»Bywaj mi wćpan zdrów!« rzekł komendant oddaliwszy się na kilka kroków.

Te słowa przypomniały młodemu oficérowi jego położenie: »Proszę bardzo,« rzekł do odchodzącego, »zostań panie komendancie! Niechaj nikt nie powie, żeś mi kiedyś był na przeszkodzie. Jestli, jak wnosisz, liścik ten istotnie liścikiem miłośnym, otóż ci go głośno przeczytam, abym cię przekonał, że się z tobą chętnie wszystkiém dzielę.«

To mówiąc rozłamał pieczątkę tajemniczego biletu, i przy świetle padającém przez śklanne drzwi ze sklepu na ulicę, przeczytał następujące słowa: »»Bądź pan tego wieczora na operze.««

»A podpis?« zapytał komendant.

»Wszak wćpan wiesz, że się takich rzeczy podpisywać nie zwykło. Przyznaję jednakże, iżbym go sam rad wiedzieć. Osobę, co to pieszę, zgaduję po części, ale nazwiska jéj nie wiém.«

»Czy ładna?« zapytał komendant.

»O, i jak jeszcze! ręczę, żeś we wszystkich swych podróżach piękniejszej nie widział.«

»To tylko dowodzi, żeś wćpan zakochany! Ale czy też i ona wćpana kocha?«

»Spodziéwam się,« rzekł kapitan z niejaką zarozumiałością, która cokolwiek na śmieszność zakroiła.

»To posłuchajże mojéj rady,« rzekł komendant, »i nie noś już więcéj tych niebieskich okularów; bom nie raz już tego doświadczył: że skoro się mężczyzna w oczach kobiéty raz śmiesznym stanie, już niech się nie spodziéwa, aby był dłużéj kochanym!«

»Komendancie,« rzekł po chwili milczenia kapitan Vernon w tonie pewnego postanowienia; »będę otwartym dla wćpana. Muszę mu wszystko wyznać.« To rzekłszy, pociągnął swego towarzysza w koniec ulicy *Taitbout*. Przyszedłszy na róg mniéj oświeconéj ulicy *de Provence*, oglądnął się ostrożnie na około jak owa placówka, która się nieprzyjacielskiego napadu obawia. Zdjął z oczu okulary i włożył je w zielony, marokinowy futeralik.

»Nikt nas nie widzi; mogę je zdjąć bezpiecznie. A teraz opowiém ci, komendancie, powód, dla którego je noszę.« Wymówił to z powagą, która się zupełnie sprzeciwiła téj śmieszności, na którą się rozmowa kierować zdawała. »Tylko to jedno chciéj mi panie komendancie przyrzéć na słowo honoru, że opowiadania mojego, jakkolwiek śmiesznem zdawać się będzie, najmniejszym żarcikiem nie przerwiesz. Jestem dziecinnym, jakto wćpan widzisz, ale nie chcę, aby się z mego dzieciństwa śmiano. Czy mi to przyrzekasz?«

Komendant skinął głową na znak zezwolenia, a kapitan Vernon tak zaczął:

»Wiadomo ci, panie komendancie, że od trzech miesięcy bawię w Paryżu na urlopie. Wyliczać to wszystko, com przez ten czas robił, byłoby od rzeczy, zwłaszcza, gdy ci wiadomo, że tego wieczora muszę być na operze; opo-

wiém więc wszystko, jak tylko można najzwięzléj. Razu jednego, a byłoto piérwszych dni w lutym, puściłem się na koniu ulicą *Elisée Bourbon*; służący jechał za mną, a ja bawiłem się widokiem powozów, które jedne za drugiemi toczyły się łańcuchem przede mną; czyniłem przegląd różnych osób, które przeciągały koło mnie, i chciały podobnie jak i ja orzeźwić się w bladych promieniach zimowego słońca. Może się będzie wćpanu zdawać to wszystko dziecinném, co powiém; ale przyrzekłem zupełną spowiedź, a sam wiész panie komendancie, że spowiednik ani śmiać się, ani spowiedzi przerywać nie powinien. Lubię słońce zimowe, lubię niebo blade, podobne owéj kobiécie, która w chwili porannéj, łzami lice skropiła. Oddałbym chętnie wszystkie róże wiosny za jednę aleję drzew z liści ogołoconych lub pożółkłych. Lepiéj mi podoba się natura w swéj żałobnéj, a niżeli weselnéj szacie; w żałobie swojéj wygląda ona jak piękna wdowa, a dla wdów pięknych, od dawna mam jakieś osobliwe uwielbienie.«

»Poeta!« rzecze komendant.

»W tém więc słodkiém, a razem posępném usposobieniu umysłu, na które się tak często uskarzać muszę, zdałem się zupełnie na mego konia, jechałem nie myśląc o niczém, a przecież nie byłem ze wszystkiém bez myśli.«

»Prawdziwie, mój przyjacielu!« przerwał mu jeszcze raz komendant, »zapoznałeś swoje powołanie. Wolałbyś był zostać sentymentalnym autorem, niż oficérem jazdy, i lepiéj byłoby ci do twarzy z lirą w ręku, niźli z karabinkiem.«

»Komendancie!« zawołał kapitan dotknięty. »Przyrzekłeś mi zaniechać swoich przycinków; chceszże, abym milczał?«

Przyjaciele podali sobie ręce.

»Nagle ujrzałem blizko siebie przejeżdzający powóz, a w powozie samę jedną kobiétę, nie tak siedzącą, jak raczéj leżącą na poduszkach pojazdu. Długa, aksamitna suknia spadała jéj niedbale aż na nogi, i spływała w przeguby z ową przyjemną ponętą, która czasem w nas wmawiać się zdaje, że wszystko, co tylko kobiéty noszą, umieją natchnąć i duszą i czuciem! Długi czarny szal kaszemirski, przesłoniony na piersiach, zdawał się otulać bóstwo tajemniczą zasłoną. Cała jéj postać zdawała się dyszeć miękkością uczuciów i zimną rezygnacyją, a myśli jéj zdały się równo tonąć w żałobie jak i nadziei. Wszystko na niéj miało coś wdowiego, co mi się tyle podoba. Byłato jedna z tych kobiét, o których, nie wiedziawszy nawet ich rysów, zwykliśmy mówić, że są zachwycające.«

»Więc twarzy jéj nie widziałeś?« zapytał komendant.

»Nie, nie widziałem, a przecież niepodobna, aby piękną nie była. Nie miałem na to dowodów, ale byłbym się oto założył. Pojazd znikł piérwéj z mych oczu, niżem jeszcze pomyślił gonić za nim. Cały dzień marzyłem tylko o aksamitnéj sukni, o długim czarnym szalu; byłem zakochany.«

»Dotychczas,« ozwał się komendant, »nié ma w tém jeszcze nic osobliwego; nie znam romansu, coby się równie tak nie zaczynał.«

»Ale słuchajże komendancie do końca: Przez długi czas udawałem się codziennie o téj saméj godzinie na Pola Elizejskie, i zdybałem ją kilka razy, zawsze samę jednę tylko i zawsze w tymże samym pojeździe. Mogłem się jéj więc lepiéj przypatrzyć. Wyobraź sobie postać wysmukłą, sylfidzką, z półkrągłą twarzą, i z ową łuną arystokrackiego wdzięku, jaką w niektórych kobiétach z okolic południowych tak bardzo uwielbiamy. Włosy jasne i tak miękko-jedwabne, że je najlżéjszy powiew wietrzyka zgmatwać zdołał; wyobraź sobie zachwytne, miło-zgodne rysy twarzy i tak małą nóżkę, jaką jedna tylko Hiszpanka miéć może i dla któregoto porównania życzyłbym sobie miéć udział w wyprawie hiszpańskiéj. Ale czego wćpanu w żaden sposób opisać nie mogę, to owego idealno-tęsknącego wyrazu błękitnych jéj oczu, które w prześlicznéj, dużéj oprawie, z pod złotych brwi, dziwnie przyjemnym urokiem wybłyskiwały.«

»Dobrze! dobrze!« rzecze komendant; »było mi tylko wprost powiedziéć, że to była blondynka, a reszty już byłbym się sam domyślił.«

»Ile razy tylko jéj powóz zdybałem, zawsze jechałem za nim zdaleka. Zdawało się, jakby i nieznajoma czasem na mnie spoglądnęła. Jednego dnia zatrzymał się pojazd nie daleko zagrody leśniczego, przy samym wchodzie w wązką, cienistą, wiecznie zieleniejącemi się sosnami wysadzoną ulicę; wysiadła i puściła się wzdłuż alei. Teraz był czas, teraz pora do oświadczenia się. Zostawiłem konia służą-

cemu i poszedłem za nią. Ale gdym ją dogonił, zabrakło mi na odwadze; jednakże widziałem wyraźnie, że czasem lekkiém poruszeniem szyi zwracała za mną głowę, co śmielszy ode mnie, byłby pewnie wziął za znak pomyślny do swego uszczęśliwienia. Uszliśmy tak ze sto kroków i już nie było widać ni powozu, ni służących. Nagle obróciła się ku mnie, i patrząc mi w oczy wzrokiem pomieszanym, ale oraz i uprzejmym, w te słowa rzekła: »Czy pan chcesz mi co powiedziéć?« Z początku oniemiałem i stałem jak zczarowany; nareszcie wstąpił duch we mnie i zacząłem coś gadać, czego sam nie rozumiałem. Chciałem być zalotnym, przyjemnym, uderzyłem nogą o ziemię, płotłem jéj tysiące niedorzeczności; słowem, wyspiewałem jéj ze wszystkich tonów to powszechne tema kochanków: Kocham cię bóstwo moje!«

»Cóż ona na to?« zapytał się komendant.

»Ona: »Zobaczymy!« rzekła i odeszła. We dwa dni dostaję liścik bez podpisu, prawie téj treści: »Mówiłeś mi pan, że mię kochasz, »ale jakże uwierzę bez dowodu? Wymagam »od pana ofiary wielkiéj, może nad siły jego; »jest mi bowiem wiadomo, że mężczyzna »wolałby raczéj oddać życie za kobiétę, którą »kocha, niż aby się miał wystawić dla niéj »na śmieszność najmniejszą.«

»A co, nie prawdaż?« rzekł komendant z miną tryumfującéj wyższości; »oto masz wćpan potwierdzenie tego, com ci dopiéro powiedział. Ale cóż daléj?«

Kapitan Vernon zaczął znowu swoje opowiadanie: »Myśl moja będzie się panu zdawać »dziwaczną, przesadną i jest w saméj rzeczy »taką, ale prawo próby jéj nieograniczone i »mogę z niego korzystać. Przyrzecz mi pan »nosić przez cały miesiąc **niebieskie okulary** i nigdzie a nigdzie ich nie zdejmywać.«

Komendant słuchał końca tego dziwacznego listu z coraz bardziéj zwrastającą uwagą i jakąś lękliwością, któréj dobrze pokryć nie umiał; rzekłbyś, że słyszana właśnie powiastka ściąga się do jednéj z jego dawnych pamiątek, i że się spoić sili obie te rozerwane myśli. Uśmiéchliwa i szydercza twarz jego przybrała wyraz obawy; zatopił się w zadumaniach i zawikłał w dręczącą niepewność: »I wćpan nie znasz nazwiska téj pani?« pytał się kapitana.

»Nie.«

»Ani jéj pomieszkania?«

»Także nie.«

»To rzecz osobliwsza.«

Komendant wymówił te ostatnie słowa daleko dobitniéj i przeciągléj, niż to miał zwykle w zwyczaju.

»Z tém wszystkiém,« mówił daléj, aby ukryć mimowolny swój kłopot; »cała ta rzecz jest może tylko jaki żarcik kobiécy; jedno z owych dziwactw tysiącznych, które są właściwe kaprysom dzieci i złośliwości młodych kotów; zapewneto jaka młoda przystojna wdówka, która znudzona, chce się rozerwać, i sobie igraszkę z pana czyni.«

»Myślałem tak samo, jak i wćpan,« rzekł kapitan Vernon. »Przez całe dwa tygodnie nie miałem ani słówka, ani znaku od mojéj ubóstwionéj. Nic, wcale nic! Wreszcie wczoraj przedsięwziąłem z saméj ciekawości odegrać zadaną mi rolę i wypełnić żądany warunek. I oto! odbiéram dziś ten bilecik; mogę słusznie wnosić, że zchadzka obiecana tego wieczora jest tylko nagrodą mego posłuszeństwa.«

»To śmiesznie!« rzekł komendant.

Podczas téj rozmowy obaj oficérowie zaszli na ulicę *Lepelletier*: »Żegnam cię mości komendancie,« rzekł kapitan Vernon.

»Spieszysz na zamówione miejsce.«

»Tak jest.«

»I w okularach?«

»Rad nie rad — muszę.«

Komendant zamilkł na chwilę, jak człowiek wahający się między dwoma przedsięwzięciami. »A więc żegnam!« wymówił wreszcie. »Ale chciałbym wiedzieć koniec téj awantury.«

»Jeżeli pozwolisz komendancie, ja cię odwidzę i opowiém.«

»Przyjdę sam do wćpana,« rzekł komendant po chwili namysłu; »tak lepiéj. A twój adres?«

»Ulica *St. George*, nr. 8.«

W kilka chwil poźniéj biegł już kapitan Vernon po wschodach, prowadzących do teatru opery.

(Dokończenie nastąpi.)

KUCHNIA STAROPOLSKA.

(Z Poznań. Tygod. Liter.)

Sposób gotowania zmieniał się u Polaków, tak jak wszystko inne. W najdawniejszych czasach była zapewne kuchnia narodowa sławiańska, która zależała na prostém gotowaniu i pieczeniu mięsa

lub owoców. Za Piastów tę kuchnią zmienił nieco wpływ niemiecki; w początkach epoki jagiellońskiej nasiąknęło trochę smaku oryjentalnego, a poźniej szło wiele od Włochów; nakoniec pod Wazami i Sobieskim wcisnęła się jak wszędzie i do kuchni francuzczyzna.

U ludzi bogatych w Europie było od wieków i jest jadło europejskie, to jest wybór potraw całego cywilizowanego świata, jednakże to jadło w każdym kraju nosi piętno narodowości. Kuchnia jest wieloraka w stosunku stanu albo raczéj funduszu osób. Pod względem kuchennym chłopami zaprzątać się nie myślimy i rzucamy się wprost na stronę przeciwną. Kuchni staropolskiéj pańskiéj największą cechą była obfitość w mięso, a zupy, czyli po staremu polewki, potrawy mączne, mleczne, warzywa i owoce podrzędną w niéj grały rolę; bardzo rozmaicie i dobrze doprawiała ryby, nieszczędziła najtęższego korzenia, lubiła szafran, a ocet uważała za elixir smaku i życia ludzkiego.

Do czasów Sobieskiego myślano w Polszcze o rzeczach ważniejszych, jak o przysmaczkach, dla tego nie było autora kuchennego i wcześniejszych potraw nie znamy dokładnie, choć wiemy już, że Bolesław Chrobry wiele jadał zwierzyny, jak pisze Gallus. Wiemy także o uczcie Wierzynka i różnych królewskich godach. Piérwszy dopiéro Stanisław Czerniecki, sekretarz jego królewskiéj mości, a mimo ten urząd i kuchmistrz pana Alexandra Lubomirskiego, wojewody krakowskiego, wydał r. 1682 w Krakowie u Schedlów *Compendium ferculorum* albo *Zebranie potraw*. Ten pisarz znakomity, którego dzieło wielekrotnie przedrukowano, który do ostatnich czasów rzeczypospolitéj był domowym nauczycielem nadprababek i babek naszych w szlachetnym kunszcie dysponowania lub gotowania obiadów, będzie w całym artykule przewodnikiem. Polewki mięsne staropolskie były główne dwie, to jest: rosół polski, a po staremu przed Sobieskim kaszanat jeszcze dzisiaj zwyczajny. Pod ten rosół dawano kaszę, kluski, groch i różne rzeczy, a szczególniéj figatele, o których niżéj powiémy. Drugą główną polewką był rosół węgierski; robiono go ze zwierzyny lub drobiazgu ze słoniną, krajaną w talérzyki z masłem, pieprzem, imbierem, czosnkiem, pietruszką; pod rosół węgierski dawano zawsze tylko grzanki z chleba. Barszcz królewski był zupą postną; składał się z kwasu mącznego, ryby, kaszy tatarczanéj i był doprawiony tylko kminem. Barszcz cytrynowy był mięsny i postny, to jest rosół, doprawiano żółtkami jaj i cytrynami. Na zupy postne dawano polewki migdałowe, kaparowe, mleczne, cebulowe, grzybowe z soczewicy, grochu.

Dzisiaj bulion, czy świéżo ciągnięty, czy suchy, jest pierwiastkiem albo podstawą kardynalną sosów, a przynajmniéj w kuchni równie ważnym punktem, jak twierdzenie Pytagoresa w jeometryi prostokreślnéj; dawniéj to miejsce zajmował tak zwany gąszcz. Gąszcz mięsny był wywarem rozynków, marchwi, pietruszki i jabłek kwaśnych, albo kwaśnego chleba; gąszcz postny ciągnięto z rozynków lub fig, gotowanych z winem i przebijanych przez sito; podlejszy gąszcz postny robiono z wywaru cebuli z marchwią lub inną ogrodowiną.

Lubo wszelkie jadło nazywa się potrawą, przecież uczeni pod tym wyrazem w ściślejszém znaczeniu rozumieją jadło mięsne z sosem, a po staropolsku ze saporem. Między potrawami w tém ściślejszém znaczeniu główniejszą była potrawa z miodownikiem; mięso większéj zwierzyny moczono w occie dobrze osolonym; potém gotowano w occie z solą, ale wodą zwolnionym; dodawano dopiéro miodowniku tartego na tarce lub przebijanego przez sito i nareszcie wina, cukru, rozynków, migdałów, pieprzu, szafranu, cynamonu, limonii. Potrawa szara mogła być z wielkiéj zwierzyny, albo z wszelkich domowych zwierząt, prócz wołu. Brano mięso, gąszcz, ocet, cukier, rozynki, limonią, oliwki, pieprz, imbier, cynamon, sól, i z tego wszystkiego sos ciągnięto. Potrawa królewska była z cielęciny lub ptastwa, a robiła się tym sposobem, że odgotowane mięso doprawiano gąszczem, octem, cukrem, szafranem, pieprzem, cynamonem; wielkiemi i małemi rozynkami, limonią. Potrawa z juszycą, czyli czarnina, i potrawa z powidłami były takie, jak i dzisiaj. W potrawie rumiannéj dawano cąbry, żubrze, łosie, bawole, jelenie, daniele, sarnie, albo wieprzowinę, skopowinę, gęsi i t. d. Robiono ją tym sposobem, że mięso moczono w occie solonym, potém gotowano w innym occie; po zawrzeniu znowu gotowano w piérwszym occie. Tymczasem ukrajano cebuli w talerzyki, pietruszki w kostkę, naprzód przesmażono, a za włożeniem mięsa dodano wina, cukru, rozynków, oliwek, pieprzu. Potrawa węgierska była z drobiu lub cielęciny, a ze sosem ciągniętym z rosołu, pietruszki, cebuli, słoniny, octu, pieprzu, szafranu, cukru i rozynków. Limonata była także potrawa z cielęciny lub drobiu, któréj sos robiono z rosołu, masła, chleba tartego, limonii, szafranu, pieprzu, cukru, gałki, cynamonu. Brazole była potrawa z wołowego mięsa, które moczono w occie, pieczono na ruście, potém doprawiano w rynce z łojem, rosołem, octem, pieprzem, imbierem i gałką. Miskolancyja składała się z kapłonów, cielęciny i innych mięs, które pieczono, a potém smażono w rynce z jabłkami, grzybowym sokiem, cebulą, pietruszką, masłem, pieprzem i gałką. Trudno przechodzić wszystkie doprawiania mięsne ze sosem; byłabyto nudna zabawa sto ich wyliczać, a wreszcie przez kombinacyje pierwiastków kuchennych dawały się już przed kilkuset laty na tysiące rozmnażać. Należy

tylko spomnieć o kontuzie; byłato potrawa głównie dla chorych; Fracuzi dzisiejsi nazywają ją *la puré* (przecierka), a robi się z kurcząt gotowanych na miazgę i tartych przez sito.

(Dokończenie nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

W końcu przeszłego miesiąca odwidził nasze miasto profesor Jan Swiatopłuk Presl z Pragi, dla obejrzenia się w kraju naszym i przez Bieszczady udał się w dalszą podróż do Węgier. Uczony ten znany jest z ważnych dzieł lekarskich, fizycznych i technologicznych w narzeczu czeskiém i zadziwia niezmordowaną pracowitością swoją, odznaczając się przytém wielu innemi zasługami, jakie sobie w naukach w ogólności, a w czeskiém piśmiennictwie w szczególności zjednywać nie przestaje. Z.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 45. i obejmuje przedmioty następujące: 1) O skutkach słotnego roku w gospodarstwie polowém. 2) O zbieraniu nasienia drzewa morwowego. 3) O herbacie poziomkowéj. 4) O topolach. 5) Nauka o parchach owczych. 6) O kotle parowym. 7) O koniecznéj potrzebie zaprowadzenia w kraju naszym młynów parowych.

Ze Stanisławowa. Z tutejszéj drukerni Pawła Pillera wyszły następujące z okoliczności napisane poezyje t 1) Wiérsz przy założeniu domu szpitalnego w mieście Stanisławowie d. 10. czerwca 1837. 2) Głos ku czci Najj. ś. p. Cesarza Franciszka I. przy odsłonieniu Jego pomnika w Stanisławowie d. 13. maja 1838. — Oba te płody są pióra Franciszka Sebast. Januszkiewicza.

W piśmie angielskiem *Atheneum* umieszczona jest rozprawa: »O literaturze polskiej 18go i 19go stulecia,« napisana przez Stanisława Koźmiana.

Francuzka akademija umiejętności wyznaczyła w tym roku nagrody następujące: Za najlepszy poemat na pochwałę muzeum Wersalskiego, medal, wartujący 2.000 frank. Za najlepszą pochwałę na panię Sevigne, jako wieniec wymowy, podobnież 2.000 frank. W miejsce pani Sevigné proponowano pochwałę na panię Staël, ale pierwsza odniosła na obradach zwycięztwo. Najlepsza rozprawa o wpływie hiszpańskiéj literatury w szczególności, a zagranicznej w ogólności na literaturę francuzką, otrzyma 3.000 frank. Nagroda ta wyznaczona jest już od r. 1836 i trwać będzie aż do 1go stycznia 1839. Kwotę z 6.000 frank. wyznaczono za najlepsze tłumaczenia dzieł moralnych, które do 1. stycznia 1839 wyjdą na widok publiczny. Nakoniec jeszcze w miesiącu lipcu r. 1831 wyznaczyła akademija nagrodę 10.000 franków za najlepszą trajedyją lub komedyją w pięciu aktach treści moralnéj, jeżeli z oklaskami przyjęta będzie. Czas ubiegania się o nią wyznaczonym został aż do 1. stycznia 1840 roku.

Elektro-magnetyczne kuracyje. Kuracyje te, które niejaki dr. Sherwood w Nowym-Jorku z wielkim skutkiem zastósowywa, są teraz bardzo ulubione w Ameryce północnej. P. Sherwood wynalazł elektro-magnetyczne plastry i pigułki, których zewnętrznie i wewnętrznie przeciw wszelkim chorobom, a mianowicie na słabości chroniczniej używać każe. Nie za długo wyda on wielkie dzieło o leczącéj sile elektro - magnetyzmu; zamyśla także przyjechać do Europy, aby tu jeszcze większą niż w Ameryce pozyskał sławę. Rozumie się, iż przy tém porobił także i inne odkrycia, o których się ani śniło samemu Faradejowi. I tak utrzymuje on, iż za pomocą elektro-magnetyzmu potrafi objaśnić cały związek naszego słonecznego systemu i wszystkich planet stanowisko dokładnie; co większa, miał on podobnie jak Kant przepowiedzieć odkrycie nowego przez sir Johna Herschla nie dawno wynalezionego planety, ponieważ dwanaście planet potrzebne są do jego elektro - magnetycznego systemu. Zapewniają nawet, iż w przeciągu trzech lat tego w Ameryce dokażą, że elektro-magnetyzmem siłę pary zastąpią, zwłaszcza, iż już obecnie znajduje się tamże machina, mająca połowę siły końskiej, która się za pomocą elektro - magnetycznego płynu porusza. Ktoby sobie życzył czytać o tém obszerniej, tego odsyłamy do nr. 112, wychodzącej w Londynie *Literary gazette.*

Machina do fabrykowania igieł. Na dowód jak wielkie technika robi postępy nawet w nieznaczących na pozór przedsięwzięciach, umieszczamy tu z angielskiego dziennika wyjęty artykuł następujący: Panowie Coeker i Syn w Sheffield otrzymali nie dawno patent przywileju za wynalezienie do fabrykowania igieł machiny, która obecnie pracuje w ich zakładzie. Machina ta wyciąga drut stalowy do należytej grubości, prostuje go, przecina podług przepisanéj długości, zaostrza koniec, żłobkuje rynienki do wywiercenia uszka, przekłuwa uszko, i z obu stron wygładza; następnie zbiera pilnikiem cienkie włoski, a nareszcie spuszcza każdej minuty czterdzieści zupełnie gotowych igieł do pudełka. Przedsiębiercy zajmują się obecnie urządzeniem pięćdziesięciu podobnych machin, które przy pomocy tylko pięciu ludzi, codziennie milion dwakroć sto tysięcy gotowych igieł wydawać mają. Sposób obrabiania końców igieł był dotychczas zawsze niebezpiecznym dla robotników; nowo wynaleziona machina obrabia końce igieł w taki sposób', iż najsłabsze zdrowie nie jest przytem na żadne niebezpieczeństwo narażone.

Zachowanie zboża od wołków. Pewien plantator tytoniu, nie mający dostatecznego miejsca do wysuszenia liści swego zbioru, porozkładał je na kupie żyta w szpichlerzu. W życie tem było pełno wołków, atoli zaledwo na niém przez niejaki czas poleżał tytoń, natychmiast się wszystkie wołki z żyta wyniosły i już doń więcéj nie wróciły.

Browar Perklina jest najsłynniejszym w Londynie. Obszerny zakład ten, którego obecny właściciel nabył za 135.000 funt. sztrl., jest w swoim rodzaju największym w całym świecie. Budowle jego zajmują przeszło dziesięć morgów ziemi, 157 koni użyte są li do rozwożenia piwa po mieście, które codziennie 1500 podwójnych wiader potrzebuje, nie licząc w to ilości, która codziennie do Szkocyi i Ameryki wychodzi. Dwie machiny parowe, każda o 300 siły końskiej pracują bez ustanku, prócz tego jeszcze dwiestu robotników pobiera ciągłą płacę. W browarze tym potrzebują codziennie 30 worów chmielu, a rocznie w przecięciu 100.000 korcy słodu, z których wyrabiają 400.000 beczek piwa. Beczka porteru o czterech wiadrach kosztuje 5 funt. sz.; kwarta niemal 12 kr. Porter londyński jest czarno-brunatnego, czystego jak miód koloru, ma smak bardzo gorzki, podobny do piołunu. Porter ten, napiwszy się go, zostawia po sobie przez długi czas piekące uczucie w gardle, które do smaku hiszpańskiego pieprzu podobne. Anglicy jedzą przytém zwykle cukrem posypane sucharki i palą z kolońskich fajek, co poniekąd umniejsza gorycz tego napoju.

Ile serce człowieka waży. W jednem piśmie angiel. lekarskiém *Glen dossning* czytamy, iż serce mężczyzny około dziewięciu, a kobiety około ośmiu uncyj waży. Osobliwszą rzeczą, która dotychczas była niewiadoma, jest to, iż serce mężczyzny z wiekiem cięższém się staje, podczas gdy serce kobiety po trzydziestu latach zaczyna zwolna z swojej ciężkości utracać.

Sposób jakim akt *habeas corpus* przeszedł przez izbę. Lord Shaftesbury wniosł ten bil

dla zabezpieczenia wolności osobistéj. Bil ten przeszedł był w izbie niższej i miał upaść w izbie wyższej podług wszelkiego wyrachowania ministrów. Przystąpiono do głosowania; lord Grey zbiérał wota, a lord Norris spisywał je. Gdy kolej głosowania przyszła na najotylszego członka izby, a ten oświadczył się za bilem, lord Grej, który zawsze lubił żartować, rzekł, iż tego członka, podług kubicznéj jego wagi, za dziesięciu policzyć można, i podał zamiast jednego dziesięć głosów, które Norris, będąc roztargnionym, w saméj rzeczy zapisał. Temu żartowi winna Anglija bezpieczeństwo osobistéj wolności. Tylko trzy lub cztery wota stanowiły większość głosów na korzyść bilu. Ministrowie zdziwieni, żądali powtórnego głosowania; ale gdy jedna część lordów już się była rozeszła, ostało się więc przy pierwszem obliczeniu, a Karol II. nie mógł zaprzeczyć sankcyi temu bilowi. Wypadek ten umieszczony jest w pamiętnikach lorda Shaftesbury, a jeźli nie jest zmyśleniem, okazuje dostatecznie, iż szczęście narodu częstokroć i od żartu zależéć może.

Sposob Napoleona dawania darów. Jak dobrze Napoleon wiedział, że nie dar, lecz sposób jakim ten dar dajemy, stanowi wartość prawdziwą, dowodem są anegdoty następujące:

Napoleon nie miał cierpliwości; nie lubił czekać i chciał zawsze mieć wszystkich swoich ludzi na podoręczu; dla tego rzekł pewnego razu do radzcy stanu Real: »Ale, ale! masz też wćpan wioskę?« — »Mam, Najj. Panie,« odrzekł tenże, »dosyć ładną o pięć mil od Paryża.« — »To za daleko; nie mógłbym posłać o pięć mil po wćpana, gdy mi potrzebnym jesteś, a to nie raz się zdarza. Staraj się wćpan, abyś sobie wioskę niezwłocznie kupił, gdzie w pobliżkosci.« — »Najj. Panie, ja nie mogę kupić innéj, dopokąd nie sprzedam téj, którą posiadam.« — »A któż wćpanu mówi, abyś sprzedał tę, którą posiadasz? Ja chcę tylko, abyś do niéj drugą dokupił. Wiem bardzo dobrze, że napracowawszy się ze mną długo, jak naprzykład dnia dzisiejszego, potrzebujesz spoczynku, wytchnienia i świeżego powietrza. To się ze wszech miar godzi, ale tylko bliżéj Paryża, abym wćpana mógł mieć pod ręką.« — »Bardzo dobrze, Najj. Panie! ale chcąc kupić, należy mieć wprzód pieniądze.« — »Alboż wćpan nie masz znacznéj pensyi?« — »Mam, Najj. Panie: ale dotychczas nie mogłem ani grosza z téj pensyi oszczędzić.« — »To nic dobrze. Z resztą rób jak chcesz, ale tylko kup sobie inną wioskę, i to jak najspieszniéj; tak być musi, ja żądam tego!« Nazajutrz po skończonych obradach państwa zapytał Napoleon Reala: »No, cóż tam? znalazłeś wćpan wioskę, którąby była do sprzedania?« — »Nie jednę, ale dziesięć, Najj. Panie; więcéj bowiem jest takich, którzy chcą przedać dobra swoje, niż takich, którzy je zapłacić mogą.« — »Uwaga ta jest dowcipną, w istocie!« rzekł Napoleon z uśmiechem, »ale szukajno wćpan, szukaj. Dobra myśl często poźniéj przychodzi.« Nazajutrz obudziwszy się otrzymał Real asygnacyję na 400.000 franków dla kupienia sobie dóbr w pobliżkości, które natychmiast mu z kasy cesarskiéj wypłacono.

Baron Corvisart, lekarz nadworny, odwidzając codziennie z rana Napoleona, był pewnego razu w tak posępnym humorze, że go Napoleon, jak zwykle w żartobliwym zapytał tonie: »Cóż ci to, mości doktorze? Czy nie wysłałeś wćpan na tamten świat jakiego pacyjenta?« — »Przebacz, Najj. Panie! Dzisiejszego dnia na żaden sposob wesołym być nie mogę; właśnie bowiem widziałem scenę, która mnie niezmiernie zasmuciła.« — »Jako? może wszyscy pacyjenci wćpana za jednym razem wyzdrowieli?« — »I owszem, przeciwnie! Właśnie tu w pałacu biédny hrabia Laville-Leroux został apoplexyją tknięty!« — »Tu w pałacu? żal mi go mocno! Jestto niezmierna strata dla senatu.« — »Użyłem wszelkich środków, jakie tylko były w méj mocy, lecz już było za późno!« — »Tak, tak, to wasza zwyczajna piosnka! Gdybyś wćpan z takim uporem nie był się wzbraniał mieszkać w tym zamku, byłbyś może jeszcze pomógł hrabiemu. Biédny Laville-Leroux! Byłto zacny mąż, lecz nie był gospodarzem. No, ponieważ wćpan doglądałeś go w ostatnich chwilach, słuszna więc, abyś odziedziczył po nim jaką pamiątkę. Przed dwoma laty pożyczyłem mu 35.000 frank., oto jest wexel; daruję go wćpanu. Niech mu służy w nagrodę za tych, którym życie uratowałeś, a którzy mu niewdzięcznością się wypłacili.« Corvisart, wziąwszy wexel skłonił się, podziękował i odszedł; ale wkrótce dowiedział się, iż puścizna po hrabi Laville-Leroux tak była zadłużona, iż nawet prawi jego dziedzice objąć jéj nie śmieli. Corvisart wszedłszy nazajutrz do gabinetu Napoleona, rzekł. »Najj. Panie, byłeś tak łaskaw, żeśmi wczoraj darował wexel hrabiego Laville-Leroux, lecz zapomniałeś o głównéj rzeczy.« — »A ta jest?« odrzekł Napoleon z zadziwieniem. — »Jestto rzecz małéj wagi; sama tylko formalność. W. C. Mość nie pomyślałeś o tem, iż do tego wexlu cesyja na moje nazwisko jest potrzebna.« — »Aha, rozumiem o co wćpanu chodzi,« odrzekł Napoleon z uśmiéchem i pociągnął swego lekarza za ucho, jakto zwykł czynić, gdy był w dobrym humorze: »Wćpan obawiasz się, aby w sądzie wexlu nie odrzucono? Potrafimy temu zaradzić!« siadł i napisał na drugiéj stronie wexlu: »Asygnacyja 35.000 franków, które hrabia Estève ma natychmiast wypłacić baronowi Corvisart i zapisać do porachunku. Napoleon.«

Pobyt marszałka Soult w Anglii. Z pobytu marszałka Soult w Anglii dziennik *Globe* opowiada anegdotę następującą: Gdy marszałek zwidzał niektóre fabryki angielskie, pewien tkacz w jednéj z tych fabryk pracujący, który podczas wojny z Napoleonem jako strzelec w angielskiem wojsku służył, oświadczył, iż życzyłby sobie zobaczyć się z dawnym swym nieprzyjacielem, do którego podczas hiszpańskiéj wojny ze dwadzieścia razy celował i wystrzelił. Marszałek z swojéj strony podobnież był ciekawy poznać się z tym nieznajomym przeciwnikiem; jakoż przyszło między nimi w saméj rzeczy do krótkiéj i uprzejméj rozmowy, w któréj Soult byłemu strzelcowi ten błąd, iż źle do niego celował, bardzo chętnie przebaczył.

Ile dama w tańcu ubieży. Wyrachowano dokładnie, iż dama na balu jednéj nocy, jeżeli tańczy wszystkie tańce, co się zwykle wydarza, a to jeszcze w ciasnych trzewikach, skrępowana sznurówką i po większéj części na paluszkach skacząc, tyle kroków ubieży, iżby niemi cztery mile drogi ujść mogła. Któżby się nie zdumiał nad takiem natężeniem! A jednakże, gdyby takowéj damie w wygodnym ubiorze, podczas letnéj pory, na najlepszéj drodze wypadło w dziesięciu godzinach ujść pieszo cztery mile, sądziłaby, iż to jest dla niéj rzeczą niepodobną!

Czarne oczy. Pewien sławny poeta hiszpański, opisując czarne oczy młodéj i pięknéj kobiéty, mówi: »Oczy jéj smucą się nad nieszczęściem, które zrządziły!«

Trafna odpowiedź. Pewien Anglik, będący u bogatego Francuza na obiedzie, wywrócił przypadkiem szklankę na stole. Gospodarz go zapytał: »Czy to jest zwyczaj angielski?« Z obojętnością odrzekł Anglik: »Bynajmniej; ale jeżeli coś podobnego w Anglii się wydarzy, przynajmniej nikt się o to nie pyta.«

Redaktor Jan Nep Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*